

*Fragmety książki pt. „Jak Michał ze Lwowa do Chin zawędrował”
autorstwa Moniki Miazek-Męczyńskiej*

GRUPA – A

**Rozdział III
W Krakowie trzeba poczekać**

Hejnał grany na trąbce z wieży kościoła mariackiego spłynął na Kraków deszczem złotych nutek. Jego ton wyrwał z zamyślenia młodego zakonnika, który powoli podniósł się z kolan i z pewnym wyrzutem spojrział na wiszący na ścianie portret świętego Franciszka Ksawerego.

– Nie pomagasz mi zbytnio... – mruknął młody jezuita w kierunku świętego, na którym te słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Po chwili, nieco zawstydzony swoimi słowami zakonnik dodał pojednawczo:

– Oj, dobrze. Przepraszam, ale mógłbyś się bardziej postarać. Ileż muszę czekać, by wyruszyć do tych Chin? Pytanie zawisło w powietrzu i nikt nie kwapił się z odpowiedzią – ani Franciszek Ksawery namalowany na obrazie, ani stojący pod obrazem Michał Boym. Kilkanaście już lat upłynęło od tamtego poranka w rodzinnej kamienicy we Lwowie, gdy jako chłopiec ślubował zostać misjonarzem. W tym czasie wyrósł, zmężniał, wyostrzyły mu się rysy twarzy, choć grzywka nadal spadała na oczy niesfornymi kosmykami. Nie jednego też się nauczył w jezuickich szkołach we Lwowie, Kaliszu, Jarosławiu i Krakowie. A teraz, kończąc studia teologiczne, czuł się już w pełni gotowy, by wyruszyć do pogańskich Chińczyków.

W czarnym stroju jezuita wyglądał poważnie i czuł się poważnie, gotów do podjęcia wszelkich trudów i wyrzeczeń w imię Jezusa Chrystusa, a nawet do męczeńskiej śmierci, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale cóż z tego, skoro nadal brakowało mu zgody generała zakonu. Bez jego pozwolenia nic nie mógł zrobić. A rezydujący w dalekim Rzymie generał Mutio Vitteleschi nie kwapił się z odpowiedzią na błagalne listy, które Michał do niego wysyłał.

Westchnąwszy ciężko, zrezygnowanym krokiem poczłapał Michał w kierunku furty. Może nadeszły jakieś wieści z Rzymu? Oczywiście, nie nadeszły. Nadszedł za to ojciec prowincjał, Marcin Hińcza, którego Michał darzył szacunkiem niemal synowskim, odkąd znalazł się w krakowskim domu jezuitów.

– Bracie Michale, znowu wyglądasz listów z Rzymu? – dobrotliwym głosem zapytał ojciec Hińcza. Michał w milczeniu pokiwał głową, ale po chwili tłumione uczucia wybuchły z jego ust jak potok lawy z wulkanu:

– Ojciec, ileż mam czekać? Czy generał nie zna litości?

Przecież na jeden jego znak ruszyłbym do Chin – na statku, konno, a choćby nawet pieszo. Wszystko mi jedno, byłem mógł wreszcie uczyć Ewangelii tych pogańskich Chińczyków...

GRUPA – B

Rozdział IV

Lizbona pachnie oceanem

Panienko przenajświętsza, jakie to cudowne! – Michał nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu na widok klasztoru hieronimitów. Zatrzymał się jak wryty, bo piękno budowli zupełnie go oszołomiło. Idący z tyłu tragarz, który dźwigał jego kufer podróżny, zahamował równie gwałtownie, a ciężki bagaż spadł mu wprost na stopę. Tragarz próbował ulżyć swemu cierpieniu, wykrzykując długą listę przekleństw, ale że robił to w języku portugalskim, Michał Boym nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Jak zauroczony przyglądał się misternym rzeźbom, zdobiącym portal kościoła hieronimitów. Wykute w białym kamieniu postaci świętych, oplecione zwojami rzeźbionych lin i gąszczem egzotycznych roślin, lśniły gładkością w ostrym słońcu, które od kilku dni ogrzewało niestrudzenie stolicę Luzytanii. Michał przybył to prosto z Rzymu, gdzie z rąk generała zakonu otrzymał błogosławieństwo przed czekającą go misją wśród Chińczyków. Teraz miał się zaokrętować na portugalską karakę, by wreszcie wypłynąć w wymarzony rejs na Daleki Wschód. Jego wędrówkę do portu przerwało jednak niezrównane piękno klasztoru, wznoszącego się nieopodal nadbrzeża.

– Toż to istna kamienna korona... – westchnął Michał w zachwycie.

– Vasco da Gama – wymamrotał w odpowiedzi tragarz, na pozór zupełnie bez sensu, wskazując ręką wewnątrz świątyni.

Ból stopy najwyraźniej już mu minął, więc postanowił pochwalić się swoją wiedzą przed tym bladym przybyszem z dalekiej północy. Boym spojrzał na niego pytająco.

– Vasco da Gama. Tam! – powtórzył tragarz i zachęcającym gestem skierował jezuitę do środka kościoła. W pierwszej chwili Michał nie widział nic, gdyż oślepienie słońcem oczy potrzebowały kilku sekund, by przyzwyczaić się do panującego w kościele mroku. Jednak już wkrótce znowu zachwyty i zadziwienie zaparły mu dech w piersiach. Smukłe kolumny, poskręcane jak potężne liny okrętowe, podpierały dach, który zdawał się odległy jak samo niebo. W dali złotym blaskiem lśniło prezbiterium – jasne od świateł, zaś po swej lewej stronie Michał zauważył wielki sarkofag, pilnowany przez cztery kamienne lwy. Wyrzeźbiony na nim mężczyzna, ubrany z szlachecka, w szerokim kapeluszu na głowie, spał spokojnie kamiennym wiecznym snem.

– Vasco da Gama, odkrywca Indii, żeglarz nieustraszony – wyszeptał Michał z przejęciem. Pełen niespodziewanej trwogi i lęku przyklęknął i przyglądał się wydętym przez wiatr żaglom okrętu, wyrzeźbionego na boku katafalku. Wydawało mu się, że statek zachwiał się na wzburzonych falach, że jego dziób zawisł w powietrzu uniesiony przez morskie bałwany. Niemal poczuł na policzku wilgoć rozbryzgującej się piany.

– Czy właśnie tak będzie wyglądała moja podróż? – zapytał półgłosem, ale Vasco da Gama nie kwapił się z odpowiedzią.

Za to portugalski tragarz dość już miał czekania. Zajrzał do kościoła, potrząsając głową z dezaprobatą.

– Rápido, rápido! Szybko, szybko! Statek czeka! – swoje okrzyki podkreślał gwałtownymi gestami, jak na południowca przystało...

GRUPA – C

Rozdział VI

Polowanie na hipopotamy w Mozambiku

Mozambik to mała wyspa, której obwód mierzy jedną milę włoską. Obfituje w piasek i słoną wodę morską. Rosną tu palmy rodzące kokosy, nazywane inaczej orzechami indyjskimi.

Sam kokos jest wielkości mojej głowy i nie ma wewnątrz jądra, jak nasze orzechy, lecz kiedy owoc jest jeszcze niedojrzały, ma w sobie wodę słodko–kwaskowatą, tyle co w zwykłym kielichu.

Na upały pod wieczór to wyjątkowo orzeźwiający napój... – pisał Michał w liście do swego współbrata Grzegorza Cieślaka.

Był początek stycznia 1644 roku, dzień chylił się ku wieczorowi, ale upał nie zależał ani trochę.

– Uff, przydałoby się nieco napoju z kokosa... – westchnął jezuita, ocierając zroszone potem czoło i odkładając pióro. – Czas na odpoczynek.

Mimo niezmiennie wysokiej temperatury pobyt w Mozambiku przyniósł mu ukojenie po trudach podróży morskiej. Świeża woda i jedzenie (ach, jakże pyszne było portugalskie bacalhau!), a nade wszystko możliwość kąpieli zrekompensowały mu niedostatki ostatnich miesięcy. I jak miło było poczuć pod stopami stały ląd! Choć, mówiąc szczerze, jeszcze przez kilka dni po zejściu z pokładu Michał miał wrażenie, że ziemia kołysze mu się pod nogami w miarowym rytmie morskich fal.

Teraz, obmywszy twarz wodą, Michał postanowił wyjść na wieczorną przechadzkę. Jak co dzień chciał rozejrzeć się nieco po wyspie, licząc, że znajdzie możliwość, by popłynąć na afrykańskie wybrzeże, do krainy Kafrów, którą dotąd znał tylko z opowieści mieszkających tu Portugalczyków. Wcisnął na głowę kapelusz – mizerną ochronę przed palącym nadal słońcem – i wyszedł z budynku jezuickiego kolegium w parny świat. Niemal natychmiast poczuł, że cały lepi się od potu, ale nic na to nie mógł poradzić – sutanna musi być zapięta pod samą szyję. Z odrobiną zazdrości spojrzął na dwóch czarnoskórych mężczyzn, których niemal nagie ciała, przewiązane tylko od pasa do kolan krzykliwie kolorowymi materiałami, nie dusiły się pod osłoną ubrań, za to lśniły pięknie nasmarowane tłuszczem. Minęli go, rozmawiając w swoim niezwykłym języku, co chwila powtarzając głośno: „Uuu...”, co – jak już wiedział – było oznaką wielkiego zainteresowania. Gdy odprowadzał ich wzrokiem, drogę zastąpił mu ubrany z europejska mężczyzna.

– Witaj, padre Michael! – portugalski szlachcic pozdrowił jezuitę, zdejmując z głowy kapelusz z ozdobnym piórem.

– Witaj, senhor – Michał odwzajemnił powitanie, rozpoznając w swym rozmówcy Don Manuela, jednego z miejscowych szlachciców, poznanego w czasie obchodów Bożego Narodzenia.

– Przyglądasz się dzikusom, ojciec? – zagadnął mężczyzna. – Czy to nie wstyd i obraza dla Boga, że tak chodzą po świecie półnago?

– Nie nazywaj Kafrów dzikusami, senhor. To ludzie tacy jak my, stworzeni na Boży obraz i podobieństwo, a że cieplej tu niż na naszej północnej półkuli, więc i stroje są lżejsze. I czyż to nie dowód najwyższej mądrości Bożej, że Kafrom dzięki czarnej skórze i gęstym włosom słońce nie szkodzi, a my musimy się przed nim chronić? Szczerze mówiąc, chętnie bym poszedł w ich ślady, ale osoba duchowna nie może zdjąć sukni... – odparł życzliwie zakonnik.

– Jak tam ojciec uważa – mruknął szlachcic, przyglądając się jezuicie spod oka. – Ale skoroś, ojciec, taki Kafrom przychylny i ciekawy ich życia, to zapraszam jutro na łowy na grubego zwierza.

Widział kiedy ojciec konia morskiego?

– Żywego jeszcze nigdy. Ovidor, sędzia miejski, przysłał mi do kolegium odciętą głowę tego stworzenia. Mierząc ją od pyska w kierunku łopatek, ustaliłem, że miała trzy łokcie długości. Z

dolnej szczęki wystawały dwa wielkie, zakrzywione zęby, i tyle samo z górnej – choć nieco mniejsze. A w dolnej szczęce były jeszcze dwa proste zęby, sterczące do przodu. No i ten szeroki jęzor... – opisywał z zapalem Michał.

– Widzę, że z ojca prawdziwy naukowiec. To jutrzejsza wyprawa na pewno się ojcu spodoba. Proszę przyjść o świcie do portu. Popłyniemy na wybrzeże Afryki, a tam zapolujemy na konie morskie. Zobaczysz ojciec, co potrafią zdziałać Kafrowie i ich dzidy.

GRUPA – D

Rozdział VII

W Makau wszystko jest inne

Port pachniał rybami. I jeszcze czymś innym, o wiele przyjemniejszym, nieco cierpkim, nieco słodkim. Michał z oszołomieniem rozglądał się wokół siebie. Dopiero przed chwilą zszedł z pokładu statku, który szczęśliwie dowiózł go z Indii do chińskiego wybrzeża. Wokół niego stały dziesiątki łodzi wypełnionych rybami, które wkrótce miały trafić na targowisko. Ryby trzepotały ogonami, błyskały srebrzyście łuskami, podrygiwały w śmiertelnym tańcu. Obserwowanie ich smukłych ciał byłoby bardzo przyjemne, gdyby nie okropny zapach.

Michał Boym myślał, że po tylu tygodniach spędzonych na morzu, po rejsach z Lizbony do Mozambiku, z Mozambiku

do indyjskiego Goa, z Goa do chińskiego Makau, przyzwyczał się już do wszystkich morskich woni. Jednak to doznanie przekraczało jego możliwości. Zakręciło mu się w głowie i poczuł przypływ mdłości, ale gdy pochylił się, obejmując oszalały nagle żołądek, z pobliskiej łodzi spojrzęło na niego oko sporej ośmiornicy. Michał cofnął się gwałtownie. Wpadł na kosz pełen różowo–żółtych krabów, a te rozsypały się po ziemi z głośnym klekotem. Właściciel kosza, stary Chińczyk o długich siwych węsach, rzucił się zbierać cenną zawartość, biadoląc przy tym głośno. Michał próbował pomóc, ale Chińczyk rzucił mu groźne spojrzenie i kilka jeszcze groźniej brzmiących słów, więc szybko się wycofał. Na szczęście tym razem oparł się plecami o jakiś budynek, a dobywający się z niego zapach kadzideł i trociczek zdusił wszechobecną woń owoców morza.

Jezuita przymknął powieki. Wziął kilka głębokich wdechów i poczuł, że jego żołądek trochę się uspokoił. Z westchnieniem ulgi otworzył oczy. I wrzasnął głośno. Obok jego głowy otwierała się przerażająca paszcza.

– Noli timere, pater. Nie bój się, ojczcie – spokojne słowa, wypowiedziane w zrozumiałym języku łacińskim, a także mocny uścisk dłoni powstrzymały Boyma od ucieczki. – To tylko chiński smok. Rzeźba, która strzeże świątyni. Dla Chińczyków smoki to symbole szczęścia – wyjaśnił z uśmiechem młody Chińczyk, klepiąc Michała uspokajająco po ramieniu.

– Mattias, jak dobrze cię widzieć – Michał ciężko oparł się na podanym sobie ramieniu. – Gdzie zniknąłeś?

– Poszedłem po twoje bagaże, ojczcie. A teraz zaprowadzę cię do kolegium, gdzie czekają wszyscy jezuici.

– Dziękuję, że po mnie przyszedłeś. I dziękuję, że mówisz po łacinie, bo chińskiego nie rozumiem ani w ząb i pewnie nigdy się nie nauczę.

– Jeśli ja nauczyłem się łaciny, to i ty nauczysz się chińskiego, ojczcie – roześmiał się Mattias.

– Długo musiałeś się uczyć?

– Parę lat. Od kiedy przyjąłem chrzest święty i wstąpiłem do jezuickiego nowicjatu – wyjaśnił młody Chińczyk, prowadząc Boyma stromymi, zatłoczonymi uliczkami, coraz dalej od portu....